

Cykl SIGMA FORCE

JAMES
ROLLINS



DIABELSKA
KORONA

ALBATROS

Z zapisków historycznych



Siedziba Sigma Force mieści się w podziemiach Smithsonian Castle, masywnej budowli z wieżyczkami, wzniesionej w 1849 roku na skraju National Mall. W późniejszych latach wokół tego szacownego gmachu powstał rozległy kompleks muzeów, placówek badawczych i laboratoriów Smithsonian Institution. Zanim jednak to nastąpiło, w czasach wojny secesyjnej w tym jednym budynku mieściły się wszystkie kolekcje Smithsona.

Ale jaki był prawdziwy początek tego olśniewającego świadectwa nauki?

Dość dziwne, że tę instytucję założył nie Amerykanin, ale ekscentryczny brytyjski chemik i mineralog, niejaki James Smithson. Po jego śmierci w roku 1829 spadek w wysokości pół miliona dolarów (w dzisiejszych czasach to około dwunastu milionów, a wówczas mniej więcej 1/66 budżetu federalnego) został przekazany Stanom Zjednoczonym na ufundowanie „placówki dla podwyższania i szerzenia wiedzy wśród ludzi”.

Do dziś jednak darczyńcę spowija mgiełka tajemnicy. Po pierwsze, chociaż James Smithson nigdy nie postawił nogi na amerykańskiej ziemi, swój majątek i bogatą kolekcję minerałów zostawił właśnie temu nowemu narodowi. Ponadto za życia nigdy nie wspomniał o zamiarze zapisania w testamencie takiego hojnego daru Stanom Zjednoczonym i co dziwne,

po śmierci jego bratanek pochował go w Genui, nie w Anglii. Niewiele wiadomo o Jamesie Smithsonie – między innymi dlatego, że pod koniec wojny secesyjnej, w roku 1865, w Castle wybuchł gwałtowny pożar. Ogień oszczędził parter (jedyne szkody zostały spowodowane przez wodę), natomiast strawił wyższą kondygnację. Większość papierów Smithsona – łącznie z jego pamiętnikami i dziennikami naukowymi – uległa zniszczeniu. Tak oto bezpowrotnie przepadł życiowy dorobek tego człowieka.

Śmierć Smithsona nie tylko nie położyła kresu intrygującym zagadkom związanym z jego życiem, ale także je podsycała. Zimą 1903 roku słynny amerykański wynalazca Alexander Graham Bell na przekór wyraźnym życzeniom zarządu Smithsonian Castle, tak zwanej rady regentów, wybrał się do Włoch i włamał do grobu fundatora w Genui. Umieścił jego kości w cynkowej trumnie i popłynął parowcem do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie pochował je w Castle, gdzie spoczywają do dzisiaj.

Dlaczego wynalazca telefonu przeciwstawił się kolegom z zarządu i w takim pośpiechu zabrał doczesne szczątki Smithsona? Czy, jak twierdziła większość, chodziło tylko o to, że grobowi dobroczyńcy we Włoszech zagrażało zniszczenie wskutek powiększania znajdującego się w pobliżu kamieniołomu? A może za tą decyzją kryło się coś więcej – najpierw niespodziewana darowizna ekscentrycznego Anglika, później tajemniczy pożar, który zniszczył jego spuściznę, i na koniec dziwna podróż Alexandra Bella po jego kości?

Jeśli chcecie poznać szokującą prawdę o tym mrocznym amerykańskim sekrecie, czytajcie dalej...

Z zapisków naukowych



Palaeovespa florissantia – osa, która żyła 34 miliony lat temu. Zdjęcie z archiwum National Park Service

Jakie zwierzę jest najgroźniejsze na naszej planecie? Policzmy. Rekiny zabijają średnio sześć osób rocznie, a lwy dwadzieścia sześć. O dziwo, ofiarami ataków słoni pada pięćset osób. Od ukąszeń węży dwa razy tyle. Oczywiście my, ludzie, zajmujemy znacznie wyższe miejsce w tej hierarchii – ofiarami morderstw pada czterysta tysięcy osób rocznie. Ale prawdziwy zabójca w świecie zwierząt jest znacznie mniejszy i o wiele groźniejszy. Chodzi o skromnego komara. Ten roznoszący mnóstwo chorób – malarię, żółtą febrę, gorączkę Zachodniego Nilu i wirusa Zika – latający krwio pijca powoduje ponad milion zgonów rocznie. Co więcej, jego ukąszenia są główną przyczyną śmiertelności dzieci poniżej piątego roku życia.

O niechlubną koronę zabójcy rywalizują jednak z komarami inne małe bestie – muchy tse-tse, które są przyczyną śmierci dziesięciu tysięcy osób rocznie. Trafnie nazwane zabójcze pluskwiaki z rodziny zajadkowatych (*Reduviidae*) są jeszcze lepsze, mają bowiem na koncie dwanaście tysięcy ofiar. W ostatecznym rozrachunku jakiś owad co roku zabija jedną osobę na sześć tysięcy.

Dlaczego to takie ważne? Otóż służy jako ostrzegawcze przypomnienie, że żyjemy nie w erze człowieka, ale raczej – jak było to przez ponad czterysta milionów lat – w erze owadów. Ludzie pojawili się na tej planecie zaledwie trzysta tysięcy lat temu, natomiast owady istniały eony przed dinozaurami; rozmnażały się i rozprzestrzeniały, wypełniając każdą niszę ekologiczną. Co więcej, obecnie stawia się hipotezę, że właśnie one przyczyniły się do wymarcia dinozaurów, o ile wręcz go nie spowodowały. Jak? Z najnowszych badań nad skamielinami wynika, że te małe drapieżniki atakowały ociężałe jaszczury, już zagrożone i osłabione przez zmiany klimatyczne pod koniec kredy, i dzięki swojej drapieżności i roznoszeniu chorób wniosły znaczący wkład w ich wyniszczenie. W sprzyjającym momencie prehistorii wykorzystały przewagę, żeby ostatecznie pozbyć się z planety swojego głównego rywala – konkurującego z nimi o wszystkie nowe rośliny i kwiaty – i za jednym zamachem zakończyć erę dinozaurów.

Co oczywiście rodzi pytanie dotyczące najnowszego rywala owadów w walce o kurczące się zasoby naturalne Ziemi: Czy możemy być ich następnym celem?

Prolog

Genua, Włochy

31 grudnia 1903 roku

godzina 11.07 czasu miejscowego

Pasażerom zależało na czasie, więc powóz jak szalony gnał przez omiataną śniegiem Genuę. Gwałtownie podskoczył na ostrym zakręcie wąskiej ulicy.

Alexander Graham Bell jęknął. Wciąż dochodził do zdrowia po gorączce, której się nabawił podczas transatlantyckiej podróży. Co gorsza, od czasu, gdy dwa tygodnie temu wraz z żoną przybył do Włoch, nic nie szło gładko. Włoskie władze na każdym kroku rzucały mu kłody pod nogi, utrudniając plan ekshumacji szczątków Jamesa Smithsona, założyciela Smithsonian Institution. Chcąc sobie ułatwić zadanie, Alexander był zmuszony działać jak szpieg i ambasador – rozdawać łapówki, kłamać i oszukiwać. Była to gra dla znacznie młodszego człowieka, nie dla mężczyzny grubo po pięćdziesiątce. Napięcie nieźle dało mu się we znaki.

– Alec, może powinniśmy poprosić stangreta, żeby zwolnił – zwróciła się do niego żona, chwytając go za rękę.

Poklepał ją po dłoni.

– Nie, Mabel, pogoda się zmienia. I Francuzi depczą nam po piętach. Teraz albo nigdy.

Trzy dni wcześniej, gdy tylko zdobył wszystkie odpowiednie pozwolenia, niespodziewanie pojawiło się kilku dalekich francuskich krewnych Smithsona, wysuwających roszczenia do ciała i niemają-

cych pojęcia, o co naprawdę toczy się gra. Zanim te francuskie zawalidrogi zdążyły umocnić swoje pozycje, zdołał przekonać włoskie władze, że skoro Smithson cały swój majątek zapisał Stanom Zjednoczonym, darowizna z pewnością musi obejmować również jego doczesne szczątki. Poparł swoje twierdzenia garściami lirów wsuwanych we właściwe ręce, jednocześnie z całą stanowczością deklarując – zupełnie bezpodstawnie – że prezydent Theodore Roosevelt wspomaga jego misję.

Dzięki temu wybiegowi zyskał przewagę nad Francuzami, ale nie mógł liczyć, że długo się ona utrzyma.

Teraz albo nigdy.

Położył dłoń na piersi, na kieszeni, gdzie schował złożony kawałek papieru ze zwęglonymi brzegami.

Mabel zwróciła na to uwagę.

– Wierzysz, że to wciąż tam jest? – spytała. – W jego grobie, pogrzebane wraz z nim?

– Musimy się upewnić. Pół wieku temu ktoś był bliski zniszczenia tej tajemnicy. Nie możemy pozwolić, żeby Włosi dokonali dzieła.

W 1829 roku James Smithson został pochowany przez swojego bratanka na małym cmentarzu na szczycie nadmorskiego wzniesienia w Genui. W owym czasie cmentarz należał do Brytyjczyków, ale Włosi zachowali prawo do gruntu. Od kilku lat pobliski kamieniołom powoli wygryzał sobie drogę przez wzgórze i teraz jego właściciele chcieli zagarnąć wszystko, łącznie z cmentarzem.

Dowiedziawszy się o tym zagrożeniu, zarząd muzeum zaczął debatować, czy ratować kości założyciela Smithsonian Institution, zanim zostaną wysadzone w powietrze i wpadną do morza. W tym czasie w ręce Alexandra wpadł stary list. Napisał go pierwszy sekretarz tej placówki, Joseph Henry, człowiek, który nadzorował budowę Castle i który w końcu zmarł w jego murach.

– Henry nie był głupi – mruknął do siebie Alexander, gładząc gęstą brodę.

– Wiem, jak bardzo go podziwiałeś – powiedziała pocieszającym tonem Mabel. – I ceniłeś jego przyjaźń.

Pokiwał głową.

Na tyle, żeby zgodnie z jego wskazówkami przybyć na ten cmentarz we Włoszech, pomyślał.

W liście napisanym rok przed śmiercią Henry przytoczył zdarzenie z czasów wojny secesyjnej, kiedy sytuacja zmieniała się na niekorzyść Południa. Otóż w jednym ze starych dzienników Smithsona znalazł dziwną notatkę. Natknął się na nią tylko dlatego, że szukał dodatkowych zapisków dotyczących darowizny, próbując zrozumieć, dlaczego ten człowiek był taki hojny dla kraju, którego nigdy nie odwiedził. Podczas poszukiwań znalazł informację o czymś, co nie zostało zapisane Stanom Zjednoczonym. Do Castle trafiła cała kolekcja minerałów – dorobek życia Smithsona – z wyłączeniem jednej rzeczy. Był to przedmiot, który zgodnie z wolą zmarłego jego bratanek złożył wraz z nim do grobu.

Ta osobliwość wzbudziła zainteresowanie Henry'ego na tyle, że zaczął skrupulatnie czytać pamiętniki i dzienniki Anglika. Wreszcie znalazł wzmiankę o czymś, co autor nazwał Diabelską Koroną. Smithson wyraził ubolewanie, że przez niego znalezisko pochodzące z kopalni soli w rejonie Morza Bałtyckiego ujrzало światło dzienne. Twierdził, że może ono wyzwolić coś strasznego.

– *Najprawdziwsze hordy piekielne na ten świat...* – szepnął Alexander, cytując z jego dziennika.

– Naprawdę uważasz, że to możliwe? – zapytała Mabel.

– Ktoś podczas wojny secesyjnej wierzył w to dostatecznie mocno, żeby podjąć próbę spalenia Smithsonian Castle do gołej ziemi.

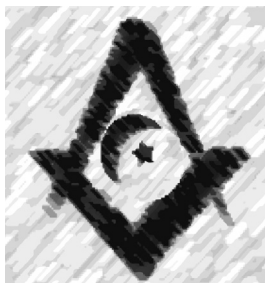
Przynajmniej tak sądził Henry, dodał w myślach.

Po odkryciu zagadkowej notatki Henry rozmawiał o niej z kilkoma członkami zarządu; zastanawiał się nawet głośno, czy przedmiot wspomniany przez Smithsona może być użyty jako jakaś forma broni. Trzy dni później w Castle wybuchł tajemniczy pożar, którego celem, jak się zdawało, było zniszczenie spuścizny po Smithsonie: jego papierów i kolekcji minerałów.

Biorąc pod uwagę tę zbieżność w czasie, Henry podejrzewał, że ktoś ze Smithsonian podzielił się jego obawami z konfederatami. Na szczęście dziennik ze wzmianką o znalezisku przechowywał w swoim

biurze, dzięki czemu nie pochłonięły go płomienie, chociaż okładka zwęgliła się, a wiele kartek było nadpalonych. Henry zdecydował, że nie ujawni swojego odkrycia, i powiadomił o nim tylko zaufany krąg współpracowników. Utworzyli w muzeum tajną grupę, której przez lata powierzano najmroczniejsze sekrety Smithsonian – informacje często tajone nawet przed prezydentem.

Jednym z przykładów był tajemniczy symbol wytatuowany na nadgarstku łotra, którego Henry w końcu powiązał z pożarem. Człowiek ten zmarł przed przesłuchaniem, podcinając sobie gardło sztylblem. Henry w swoim liście naszkicował symbol ku przestrodze dla przyszłych pokoleń.



Tatuaż wyglądał jak wersja symbolu masonskiego, nikt jednak nie wiedział, jaką lożę mógł reprezentować. Dziesiątki lat później, kiedy grób Smithsona był zagrożony, członkowie założonej przez Henry'ego grupy skontaktowali się z Alexandrem Bellem i pokazali mu list Henry'ego. Zwerbowali go do swojej sprawy, wiedząc, że pomyślne przeprowadzenie misji na włoskiej ziemi będzie wymagać osoby o jego pozycji i sławie.

Chociaż Alexander nie był pewien, co – jeśli w ogóle cokolwiek – znajdzie w grobie Smithsona, zgodził się podjąć tego zadania, a nawet osobiście je sfinansować. Niezależnie od wyniku, nie mógł odmówić.

Był to winien Henry'emu.

Powóz zakołysał się na ostatnim zakręcie i dotarł na szczyt wzniesienia. Roztaczał się z niego rozległy widok na Genuę i port, w którym tłoczyło się tyle barek z węglem, że człowiek niemal mógł-

by przebyć zatokę, przeskakując z jednej na drugą. Bliżej wzywał mały cmentarz, chroniony przez biały mur zwieńczony kawałkami potłuczonego szkła.

– Spóźniliśmy się? – zaniepokoiła się Mabel.

Alexander rozumiał jej obawy. Część cmentarza już zniknęła, pożarta przez kamieniołom, z którego wydobywano marmur. Gdy wysiadł z powozu na przejmujący wiatr, zauważył w dole coś, co mogło być tylko dwiema roztrzaskanymi trumnami. Zadrżał, wcale nie z zimna.

– Pośpieszmy się.

Poprowadził żonę przez cmentarną bramę. Czekala na nich grupka ludzi kulących się z zimna pomimo grubych płaszców. Kilku urzędników i trzech robotników stało w pobliżu okazałego grobowca otoczonego żelaznym ogrodzeniem. Alexander śpiesznie podszedł, schylony na wietrze, obejmując żonę ramieniem.

Skinął głową amerykańskiemu konsulowi, Williamowi Bishopowi.

Ten postukał w zegarek.

– Słyszałem, że francuski prawnik jedzie pociągiem z Paryża. Powinniśmy zacząć.

– Zgadzam się. Im prędzej wejdziemy na pokład *Księżniczki Irenej* z kośćmi naszego szacownego kolegi i ruszymy do Ameryki, tym lepiej.

Gdy Alexander podszedł do grobu, zaczął padać śnieg. Na szarym marmurowym cokole widniała prosta inskrypcja.

*Pamięci szacownego
Jamesa Smithsona,
członka
Towarzystwa
Królewskiego
w Londynie,
zmarłego w Genui
26 czerwca 1829
w wieku 75 lat*

Bishop podszedł do jednego z włoskich przedstawicieli władz i odbył z nim krótką rozmowę. Zaraz potem dwóch robotników zaczęło używać łomów. Strzaskali plombę na marmurowym wieku, żeby je podnieść. W pobliżu trzeci robotnik szykował cynkową trumnę. Gdy tylko przeniosą do niej kości Smithsona, skrzynia zostanie zalutowana, by mogła odbyć podróż przez Atlantyckie.

Gdy ludzie pracowali, Alexander z pogłębiającym się marszem na czołe jeszcze raz spojrzął na inskrypcję.

– Dziwne.

– Co takiego? – zapytała Mabel.

– Tu jest napisane, że Smithson zmarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

– I co z tego?

Pokręcił głową.

– Smithson urodził się piątego czerwca tysiąc siedemset sześćdziesiątego piątego. Wedle moich obliczeń, w chwili śmierci miał tylko sześćdziesiąt cztery lata. Pomylili się o jedenaście lat.

– Czy to ważne?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że bratanek znałby prawdziwy wiek stryja.

Gdy robotnicy w końcu zdjęli pokrywę, Bishop dał mu znak, by podszedł bliżej grobowca.

– Może pan powinien pełnić honory – powiedział.

Alexander doceniał gest, jednak chciał się sprzeciwić. Z drugiej strony, zaszedł już za daleko, żeby się teraz wycofać.

Jeśli się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

Dołączył do Bishopa, który stał przy otwartym grobie, i zajrzał do środka. Drewniana trumna dawno zmuszała; okrywała szkielet kocem ciężkiego próchna. Alexander z czcią sięgnął do środka po czaszkę. Niemal się spodziewał, że rozpadnie mu się w palcach, lecz kiedy rozgarnął próchno i ją wyjął, stwierdził, że zachowała się w zaskakująco dobrym stanie.

Cofnął się, patrząc w oczodoły fundatora Smithsonian.

Jak mówiła inskrypcja, Smithson był szacownym członkiem brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego, jednego z najznamienitszych towarzystw naukowych świata. Co więcej, został do niego przyjęty w wieku, w jakim Alexander skończył studia. Już wtedy poznano się na zdolnościach angielskiego naukowca. Później, jako chemik i mineralog, wiele lat życia spędził na podróżach po całej Europie, podczas których zbierał minerały i próbki rudy.

Jednakże z życiem tego człowieka wiązało się tyle niewiadomych.

Na przykład, dlaczego zapisał swój majątek i zbiory Stanom Zjednoczonym?

Lecz jeden fakt był bezdyskusyjny.

– Tyle ci zawdzięczamy – szepnął Alexander do czaszki. – Twoja hojność na zawsze zmieniła nasz młody kraj. Twoja spuścizna nauczyła największe umysły Ameryki, że należy odłożyć na bok małosłowne ambicje i pracować razem dla wspólnego dobra.

– Dobrze powiedziane – skomentował Bishop, wyciągając dłoń w rękawiczce. Pogoda pogarszała się z minuty na minutę i konsul wyraźnie chciał zamknąć tę sprawę.

Alexander nie protestował. Przekazał czaszkę, żeby mogła zostać umieszczona w cynkowej trumnie, i skierował uwagę z powrotem na grób. Już wcześniej spostrzegł w kącie prostokątny kształt.

Sięgnął do grobu i odgarnął próchno, odsłaniając metalową skrzynkę.

Czy to mogło być źródłem takiej konsternacji?

Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją wyciągnąć. Była strasznie ciężka. W końcu ją wydobył i postawił na sąsiednim grobie. Bishop kazał robotnikom przenieść kości, po czym podszedł do Alexandra. Mabel też zbliżyła się do męża.

– To to? – zapytała.

– Pozwolę sobie jeszcze raz przypomnieć – zwrócił się Alexander do Bishopa. – Nie będzie żadnej oficjalnej ani nieoficjalnej wzmianki o tym przedmiocie. Czy to jasne?

Konsul skinął głową i zerknął na mężczyzn zajmujących pracę.

– Dobrze pan zapłacił za milczenie.

Alexander, usatysfakcjonowany, otworzył zatrask i uniósł wieko skrzynki. Wewnątrz na warstwie piasku leżało coś wielkości i koloru dyni. Przez chwilę z zapartym tchem patrzył na znalezisko.

– Co to jest? – rzuciła Mabel.

– Wygląda... wygląda na bryłę bursztynu.

– Bursztynu? – W głosie Bishopa zabrzmiała nutka chciwości. – Jest cenny?

– W miarę. Chociaż to nic wyjątkowego. Zasadniczo skamieniała żywica. – Alexander pochylił się, marszcząc brwi. – Bishop, zechce pan pożyczyć latarnię od tamtego robotnika?

– Po co?

– Po prostu to zrób, człowieku. Czas ucieka.

Gdy konsul odszedł, Mabel stanęła przy ramieniu męża.

– Co sądzisz, Alec?

– Chyba coś dostrzegam. W bursztynie. Ale ledwie, ledwie.

Bishop wrócił z latarnią, Alexander wziął ją, podkręcił płomień i przysunął blisko przejrzystej bryły. Jarzyła się bogatą miodową barwą, ujawniając to, co skrywała w środku.

Mabel ze świstem wciągnęła powietrze.

– To kości?

– Chyba tak.

Wyglądało na to, że grób Smithsona zawierał więcej niż tylko jego rozpadający się szkielet.

– Ale czyje? – wtrącił się konsul.

– Nie mam pojęcia – odparł Alexander. – Z pewnością czegoś prehistorycznego.

Pochylił się, mrużąc oczy. W sercu bursztynu spoczywała mała trójkątna czaszka wielkości pięści, z wystającym rzędem ostrych zębów. Wyglądała na gadzią, może należała do małego dinozaura. Mniejsze kości unosiły się w rozjarzonej bryle. Wyobraził sobie, jak żywica pradawnego drzewa spływa na martwe stworzenie, poruszając kości, i na wieki pozostawia je w tej pozycji.

Te mniejsze tworzyły nad czaszką upiorną aureolę.

Jak korona.

Zerknął na żonę, która nabrała głęboko powietrza, gdy również to zobaczyła. Zrozumiała, że mają przed oczami coś, o czym napisał Smithson – coś trafnie nazwanego Diabelską Koroną.

– Niemożliwe – szepnęła.

Pokiwał głową. W kieszeni miał nadpaloną kartkę z dziennika, tę, na której Smithson napisał o tym znalezisku.

To z pewnością niemożliwe, jak powiedziała Mabel, pomyślał Alexander.

Miał jednak w pamięci słowa Smithsona.

Strzeżcie się, albowiem to, co zawiera Diabelska Korona, żyje...

Przebiegł go lodowaty dreszcz strachu.

...i jest gotowe rzucić piekielne hordy na ten świat.

Waszyngton, USA

3 listopada 1944 roku

godzina 20.34 czasu miejscowego

– Uważaj na szczury – przestrzegł James Reardon, stojąc przy wejściu do tunelu. – W ciemności grasują prawdziwe bydlaki. W zeszłym miesiącu jeden odgryzł robotnikowi czubek kciuka.

Archibald MacLeish zdusił drżenie odrazy, gdy powiesił marynarkę na haczyku obok drzwi. Miał niezupełnie odpowiedni strój na wyprawę w podziemia, bo wieczorne zebranie w Bibliotece Kongresu przeciągnęło się i nie miał czasu się przebrać.

Patrzył w dół schodów, które prowadziły do starego tunelu łączącego Smithsonian Castle z jego sąsiadem po drugiej stronie, National Mall. Nowszy gmach, Muzeum Historii Naturalnej, został udostępniony zwiedzającym w 1910 roku po tym, jak konne wozy przewiozły dziesięć milionów eksponatów z Castle do ich obecnego domu. Dwa budynki przez dziesięć lat korzystały z tego długiego na ponad dwieście metrów tunelu, ale po późniejszych modernizacjach przejście zostało zamknięte i tylko od czasu do czasu zaglądała tam brygada konserwatorów.

No i przerośnięte gryzonie.

Mimo wszystko Archibald wierzył, że można ponownie wykorzystać ten opuszczony tunel. Jako dyrektor Biblioteki Kongresu i szef Komisji do spraw Ochrony Dóbr Kultury, na początku drugiej wojny światowej został wyznaczony do zabezpieczenia narodowych skarbów. Obawiając się nalotów bombowych, jakich ofiarą padł Londyn

podczas bitwy o Anglię, osobiście nadzorował transport bezcennych dokumentów – Deklaracji Niepodległości, Konstytucji, nawet kopii Biblii Gutenberga – do bezpiecznego Fort Knox. Narodowa Galeria Sztuki też przeniosła swoje najcenniejsze arcydzieła do Biltmore House w Karolinie Północnej, a Gwiazdzisty Sztandar zakopano głęboko w Parku Narodowym Shenandoah.

Archibaldowi nie podobała się taka prowizorka. W 1940 roku próbował przeforsować bardziej trwałe rozwiązanie, mianowicie budowę schronu przeciwlotniczego pod National Mall. Niestety, Kongres odrzucił jego pomysł z powodu kosztów.

Pomimo niepowodzenia Archibald nie zrezygnował ze swojego pomysłu – i dlatego teraz znajdował się w piwnicach Smithsonian Castle, gdzie urządzono tymczasowe schrony przeciwlotnicze dla personelu muzeum. Trzy tygodnie wcześniej wynajął dwóch inżynierów, żeby ocenili realne szanse potajemnej budowy skarbcza przy tunelu. Przedwczoraj podczas inspekcji inżynierowie znaleźli w nim boczne drzwi, w połowie National Mall. Były ukryte za rurami i zamurowane.

Archibald natychmiast powiadomił Jamesa Reardona, obecnego podsekretarza Smithsonian. James, stary przyjaciel, popierał jego pomysł budowy schronu przeciwlotniczego. Obaj mieli nadzieję, że odkrycie tajnego pomieszczenia może odnowić zainteresowanie budową schronu, zwłaszcza w obliczu tego, za czym sprawą się tutaj znajdowało. Nazwisko tego człowieka widniało na tabliczce przymocowanej do stalowych drzwi za warstwą usuniętych cegieł.

Alexander Graham Bell.

Informacji towarzyszyło ostrzeżenie.

To co leży za tymi drzwiami, jest zarówno cudem, jak i zagrożeniem jedynym w swoim rodzaju. Może na zawsze zmienić naszą przyszłość albo, w złych rękach, skazać nas wszystkich na zgubę. My, niżej podpisani, uznaliśmy niniejszy przedmiot za zbyt zdradliwy, aby wydobyć go na światło dzienne, nie śmiemy go jednak zniszczyć – albowiem jego serce być może skrywa klucz do życia po śmierci.

Były to niezwykle słowa, ale podparte podpisami pięciu członków zarządu Smithsonian. James zweryfikował nazwiska. Wszyscy

już nie żyli i nie znaleziono innych dokumentów dotyczących okoliczności, jakie doprowadziły Bella i tych pięciu do ukrycia czegoś pod National Mall, nie wspominając o utajnieniu tych zabiegów przed innymi ówczesnymi regentami.

Archibald uszanował podjęte przez nich środki ostrożności i podzielił się odkryciem tylko ze swoim przyjacielem Jamesem. Dwóch zaprzysiężonych do zachowania tajemnicy inżynierów czekało teraz na dole, gotowych wyłamać zamek i zobaczyć, co prawie cztery dziesiątki lat temu wymagało tyle zachodu.

– Powinniśmy się pośpieszyć – rzucił James, spoglądając na zegarek kieszonkowy.

Archibald zrozumiał. Już mieli godzinę spóźnienia z powodu przedłużonego zebrania.

– Prowadź – powiedział.

James zwinnie zbiegł na dół. W przeciwieństwie do niego Archibald szedł powoli, ostrożnie manewrując na stromych, wąskich schodach. Ale przecież James był piętnaście lat młodszy i więcej czasu spędzał na nogach, pracując w terenie jako geolog. Archibald był pięćdziesięcioczteroletnim poetą, którego Franklin Delano Roosevelt posadził za biurkiem albo, jak w owym czasie on sam to ujął, „prezydent zdecydował, że chcę zostać dyrektorem Biblioteki Kongresu”.

Wszedł do wilgotnego tunelu. Drogę przed nimi oświetlał rząd osłoniętych drucianą siatką żarówek pod niskim stropem. Kilka było zbitych, wielu brakowało i pomiędzy plamami blasku zalegały długie plamy ciemności.

James zapalił grubą latarkę i ruszył w głąb tunelu.

Archibald podążył za nim. Przejście było na tyle wysokie, że mógł iść wyprostowany, mimo to garbił się i pochylał głowę. Starał się trzymać jak najdalej od ciemnych rur pod sufitem, zwłaszcza że od czasu do czasu słyszał chrobot pazurów i szmer przemykających tam szczurów.

Po kilku minutach James nagle się zatrzymał.

Archibald niemal na niego wpadł.

– Co się...

Z korytarza przed nimi dobiegły ostre trzaski.

Zaniepokojony James obejrzał się, marszcząc czoło.

– Wystrzały. – Zgasił latarkę i z kabury pod roboczą bluzą wyjął pistolet Smith & Wesson.

Archibald nie miał pojęcia, że przyjaciel jest uzbrojony, ale biorąc pod uwagę wielkość grasujących tu gryzoni, miało to sens.

– Wracaj. – James przekazał mu latarkę, po czym oburącz chwycił pistolet. – Sprowadź pomoc.

– Skąd? O tej porze w Castle jest pusto. Zanim podniosę alarm, będzie za późno. – Archibald uniósł długą latarkę jak pałkę. – Idziemy razem.

Słumiony wybuch rozstrzygnął sprawę.

James skrzywił się i ruszył blisko ściany; w miarę możliwości trzymał się cienia. Archibald wziął z niego przykład.

Po kilku krokach runęła na nich napędzana przez wybuch chmura pyłu. Archibald dostał ataku kaszlu, ale powietrze szybko się przeźcisło. Czego nie można było powiedzieć o samym korytarzu. Po podłodze i rurach płynęły potoki ciemnych sylwetek.

Szczury... setki szczurów.

Archibald zdusił krzyk, przyciskając się plecami do ściany. Coś spadło mu na ramię i odskoczyło z ostrym piskiem. Inne małe cienie przebiegały po jego butach. Kilka wspięło się na nogawki, jakby był drzewem zalewanym przez powódź.

James niewzruszenie szedł dalej, nie zwracając uwagi na gryzonie piszczące pod nogami.

Gdy dotarli do ciemnego odcinka pod zbitymi żarówkami, dostrzegli w dali blask wskazujący, że na podłodze leżą dwie latarki. W kałuży światła spoczywało ciało.

Jednego z inżynierów.

Nagle w polu widzenia pojawiły się czarne sylwetki.

Trzech zamaskowanych mężczyzn.

James opadł na kolano i natychmiast strzelił. Głośny huk sprawił, że Archibald podskoczył, na wpół ogluszony.

Jeden z intruzów okręcił się na pięcie i uderzył w ścianę. James wstał i biegnąc przed siebie, oddał drugi strzał. Archibald zamarł na sekundę, po czym ruszył za nim. W panującym chaosie rozświetlonym przez fleszowe błyski z lufy zobaczył, że jeden z zamaskowanych mężczyzn próbuje podnieść rannego towarzysza, ale James nie ustępował – w biegu pociągał za spust. Pociski krzeszały iskry, uderzając w rury i betonowe ściany.

Trzeci intruz uciekał tunelem z dużą torbą w ręce, na oślep strzelając przez ramię. Strzały padały dziko, bo mężczyźni najwyraźniej zależało przede wszystkim na ucieczce. Jego towarzysz w końcu pobiegł za nim, zmuszony przez ostrzał do porzucenia ciała bezwładnie leżącego na ziemi.

Jamesowi i Archibaldowi udało się zmniejszyć dystans do ściganych, lecz z nóg zbiła ich kolejna eksplozja. Z otwartych drzwi po lewej stronie wybuchły płomienie i rozprzestrzeniły się po wnętrzu tunelu.

Archibald osłonił twarz ramieniem.

Gdy ogień przygaśł, James znów ruszył naprzód.

Jego przyjaciel dokonał szybkiej oceny strat, gdy dotarli do drzwi. Inżynier, który leżał skulony na progu, został zabity strzałem w tył głowy. Drugi – też martwy, w ubraniu zapalonym przez wybuch – leżał w pomieszczeniu. Płomienie szalały w głębi małej betonowej komory, przemieniając ją w piec, trawiąc regał i spoczywające na nim książki. Płonące kartki wirowały w pełnym dymu powietrzu.

James przykucnął obok leżącego na ziemi napastnika. Zgasił tłące się ubranie, po czym go przeszukał.

Archibald skupił uwagę na komorze. Pośrodku stał wysoki do pasa marmurowy postument. U jego stóp leżała przewrócona i otwarta metalowa skrzynka, prawdopodobnie strącona przez wybuch. Była pusta, pomijając piasek, który się z niej wysypał, gdy spadła na podłogę.

Wyobraził sobie ciężki worek w rękach uciekającego złodzieja. Ze ściśniętym sercem zrozumiał, że to, co ukrył tu Bell ze swo-

ją grupą, właśnie przepadło. Mimo to, przyciągnięty widokiem czegoś, co wystawało z piasku, zasłonił ręką usta i nos i skoczył w ścianę gorąca.

Przestąpił nad martwym inżynierem, żeby dosięgnąć do skrzynki. Przykucnął, chwycił róg czegoś, co wyglądało na stary notes albo dziennik, i szarpnął. Skórzana okładka była poczerniała od ognia znacznie starszego niż ten, który szalał tu teraz. Szybko przewertował znalezisko – wielu kartek brakowało, część była nadpalona.

Pomyślał, że złodzieje musieli przeoczyć szczątki starego dziennika ukryte w piasku na dnie skrzynki. Czując, że to znaczące odkrycie, zabrał je ze sobą i wyszedł z komory.

– Spójrz na to – powiedział James, który kucał przy zwłokach. Już zdarł wełnianą maskę z twarzy napastnika.

Archibald spojrział i zamarł, zszokowany tym, co zobaczył.

– Boże... to kobieta.

Ale nie była to jedyna niespodzianka. Złodziejka miała czarne włosy i szerokie kości policzkowe, a skośne martwe oczy zostawiały niewiele wątpliwości co do jej pochodzenia.

– Japonka – mruknął Archibald.

James pokiwał głową.

– Prawdopodobnie japoński szpieg – rzucił. – Ale chciałem, żebyś zobaczył to. – Podniósł bezwładną rękę i pokazał znak wytatuowany po wewnętrznej stronie nadgarstka. – Mówi ci to coś?

Jego przyjaciel pochylił się i przyjrzał tatuażowi.



– Masz jakiś pomysł, co to oznacza? – zapytał James.

Archibald spojrzał na płonącą komorę. Drzwi leżały przekrzywione, wyrwane z zawiasów. Wygrawerowana tabliczka jarzyła się w blasku ognia, jakby podkreślając ostrzeżenie związane z tym, co niegdyś zostało tu ukryte.

...zagrożenie jedyne w swoim rodzaju.

– Nie – odparł. – Ale dla dobra narodu, a może i świata, musimy się tego dowiedzieć.

1

Ilha da Queimada Grande, Brazylia

8 marca, godzina 15.45 czasu miejscowego

Martwy mężczyzna leżał twarzą do ziemi, w połowie na piasku, w połowie na trawie.

– Biedakowi prawie udało się dotrzeć do łodzi – zauważył profesor Ken Matsui.

Odsunął się na bok, żeby młoda lekarka, Ana Luiz Chavos, obejrzała zwłoki. Każdemu, kto oficjalnie stawiał stopę na Ilha da Queimada Grande, wyspie leżącej jakieś trzydzieści kilometrów od wybrzeża Brazylii, musiał towarzyszyć lekarz i przedstawiciel brazylijskiej marynarki wojennej.

Porucznik Ramon Dias, ich militarny eskortant, poszedł obejrzeć małą łódź motorową, zakamuflowaną i ukrytą wśród kamieni kilka metrów dalej. Prychnął drwiąco i splunął w fale.

– *Caçador furtivo*... idiota.

– Mówi, że ten człowiek z pewnością był przemytnikiem – wyjaśnił Ken swojemu doktorantowi. Przybyli na tę daleką brazylijską wysepkę z Uniwersytetu Cornella.

Oscar Hoff miał dwadzieścia siedem lat, ogoloną na łyso głowę i wytatuowane lewe ramię i przedramię. Jego wygląd sugerował, że jest prawdziwym twardzielem, ale były to tylko pozory, na które mogła się od biedy nabrać studentka oceniająca książkę po okładce. Teraz jego ziemista cera i usta wykrzywione tak, jakby zbierało mu

się na wymioty, świadczyły o tym, że po raz pierwszy w życiu widzi zwłoki. Oczywiście stan zmarłego nie polepszał sytuacji. Ptaki i kraby nie próżnowały; ciało otaczała wielka czarna plama krwi, która wsiąkła w piasek.

Doktor Chavos nie wydawała się przejęta stanem zwłok. Obejrzała jedną gołą rękę, potem drugą i przysiadła na piętach. Rzeczowym tonem powiedziała coś po portugalsku do Diasa, po czym zwróciła się do fal, patrząc w stronę słońca nisko wiszącego na niebie. Do zmroku zostały zaledwie dwie godziny.

– Martwy co najmniej od trzech dni – zawyrokowała głośno i wskazała lewe ramię mężczyzny. Od łokcia do nadgarstka ciało było pocerniałe, z wyraźnymi zmianami martwiczymi. Spomiędzy rozłożonych tkanek połyskiwała biała kość.

– Ukąszenie węża.

– *Bothrops insularis* – osądził Ken, zerknąwszy na pobliskie skały i w kierunku lasu deszczowego, który porastał wyżyny tej wysepki o powierzchni pół kilometra kwadratowego. – Żararaka wyspowa.

– Dlatego nazywamy to miejsce Wężową Wyspą – wtrącił Diaz. – To ich wyspa. I mądrze zrobicie, gdy to uszanujecie.

Zagrożone wyginięciem żararaki opanowały wysepkę Queimada Grande, więc miała do niej dostęp tylko brazylijska marynarka. Kiedyś żołnierze przybywali tu co dwa miesiące, żeby robić przegląd latarni morskiej. Latarnia została zautomatyzowana, gdy pewnej nocy pierwsza rodzina latarników – żona, mąż i troje dzieci – straciła życie. Węże wśliznęły się przez otwarte okno, a gdy próbowali uciec, pokąsały je inne, zwisające z gałęzi wzdłuż ścieżki prowadzącej na plażę.

Od tamtej pory zakazano tam wstępu turystom. Od czasu do czasu naukowcy dostawali pozwolenie na wizytę, ale nawet im musieli towarzyszyć lekarz zaopatrzony w antidotum i eskorta wojskowa.

Jak dzisiaj.

Mając znaczne wsparcie japońskich finansistów, Ken zdołał wywalczyć zgodę na wyprawę, i to niemal w ostatniej chwili, tuż przed zapowiadany na jutro sztormem. Obaj z doktorantem musieli pę-

dzic biegiem z hotelu w małej nadmorskiej wiosce Itanhaém, żeby wykorzystać okazję. Ledwie zdążyli do łodzi.

Ana Luiz wstała.

– Powinniście jak najszybciej złapać i zabezpieczyć wasze dwa okazy, żeby wrócić na ląd, zanim zrobi się ciemno. – Ich ponton Zodiak został na plaży w sąsiedniej piaszczystej zatoczce. – Nie chcecie tu być po zmroku.

– Uwiniemy się – obiecał Ken. – To nie powinno zająć wiele czasu, zważywszy na liczbę żararak zamieszkujących tę wyspę. – Podniósł hak na długim drążku i zwrócił się do Oscara, żeby udzielić mu instrukcji. – Tutaj jeden wąż przypada na metr kwadratowy. Dlatego trzymaj się z tyłu i pozwól mi prowadzić. I pamiętaj: tylko parę kroków dzieli cię od śmierci ukrytej za skałą albo wylegującej się na drzewie.

Oscar spojrzał na zwłoki na plaży. Stanowiły wystarczające przypomnienie, że należy zachować wyjątkową ostrożność.

– Dlaczego... dlaczego ktoś ryzykował i pojawił się tu w pojedynkę?

– Na czarnym rynku jedna żararaka kosztuje ponad dwadzieścia tysięcy dolarów – wyjaśniła Ana Luiz. – Czasami więcej.

– Przemyt dzikich zwierząt to opłacalny interes – dodał Ken. – Natknąłem się na kilku takich biopiratów w różnych zakątkach świata.

I te zwłoki nie są pierwszymi, jakie widziałem, a które były konsekwencją takiej chciwości, pomyślał.

Chociaż tylko o dziesięć lat starszy od swojego doktoranta, Ken podróżował do różnych zakątków świata i większość czasu spędzał w terenie. Miał doktoraty z entomologii i toksykologii i wykorzystywał obie te dziedziny do badania związków chemicznych występujących w jadzie zwierzęcym.

Połączenie dyscyplin mogło się wydawać odzwierciedleniem jego mieszanych korzeni. Ojciec Kena, Amerykanin pochodzenia japońskiego w pierwszym pokoleniu, spędził dzieciństwo w obozie dla internowanych w Kalifornii, a matka Niemka jako młoda dziewczyna

po wojnie wyemigrowała z kraju. Krążyła anegdota, że ich rodzina w środku przedmieścia stworzyła warownię Osi.

Rodzice Kena zmarli dwa lata temu, jedno niecały miesiąc po drugim, zostawiając mu mieszaną spuściznę w postaci bladej karnacji, gęstych ciemnych włosów i lekko skośnych oczu.

Mieszane pochodzenie – zwane przez Japończyków *hafu* – bez wątpienia ułatwiło mu zdobycie grantu, dzięki któremu mógł przypłynąć na tę wyspę. Japoński koncern Tanaka Pharmaceuticals pokrył część kosztów wyprawy badawczej na Queimada Grande. Jej celem było odkrycie następnego cudownego leku ukrytego w koktajlu toksyn zawartym w jadzie mieszkańców tej wyspy.

– Idziemy – zarządził.

Oscar z trudem przełknął ślinę i skinął głową. Zajął się rozkładaniem teleskopowego chwytaka. To narzędzie pozwalało bezpiecznie łapać węża, ale Ken wołał używać zwyczajnego haka, bo wtedy gad mniej się stresował. Jeśli kleszcze były użyte zbyt agresywnie, wąż mógł zareagować na zagrożenie i zacząć szaleć.

Po opuszczeniu plaży ostrożnie stąpali w wysokich do połowy uda skórzanych butach. Piasek szybko ustąpił pasowi skał porośniętych niskimi krzakami. Pięćdziesiąt metrów dalej na zboczu wabił ciemny skraj lasu deszczowego.

Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli się tam zapuszczać, żeby znaleźć nasze okazy, pomyślał Oscar.

– Szukaj pod krzakami. – Ken pokazał, jak to robić. Wyciągnął zakrzywiony czubek tyczki i podniósł najniższe gałęzie. – Ale nie próbuj ich tam łapać. Pozwól, żeby najpierw wysliznęły się na otwartą przestrzeń.

Chwytnak się trząsł, gdy Oscar próbował naśladować swojego mentora, podnosząc gałęzie pobliskiego krzaka.

– Weź głęboki oddech – poradził mu Ken. – Wiesz, jak to robić. Dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy w zoo.

Oscar skrzywił się i zajrzał pod pierwszy krzak.

– Czy... czysto.

– Dobrze. Po jednym kroku.

Szli na czele. Ken próbował zmniejszyć napięcie swojego doktora.

– Kiedyś wierzono, że żararaki sprowadzili na wyspę piraci pragnący chronić zakopany skarb – powiedział lekkim tonem.

Ana Luiz zaśmiała się, a Dias tylko uniósł brwi.

– Więc nie piraci, jak się domyślałam – mruknął Oscar.

– Nie. Ten gatunek węży zamieszkiwał te tereny, kiedy jakieś jedenaście tysięcy lat temu podniósł się poziom morza i woda zalała most lądowy łączący dzisiejszą wyspę z wybrzeżem. Odizolowane żararaki nie miały prawdziwych wrogów i szybko się rozmnażały. Ale jedyne źródło pożywienia znajdowało się na drzewach.

– Ptaki.

– Wyspa leży na głównym szlaku migracyjnym, więc zapas pokarmu jest co roku uzupełniany. Ale ptaki okazały się trudniejszą zdobyczą niż czworonogi. Wąż może się wspiać na drzewo, ale nie jest w stanie rzucić się w pogoń za ukąszonym ptakiem. Dlatego na drodze ewolucji żararaki wykształciły jad pięć razy silniejszy niż mają ich kuzyni na lądzie.

– Żeby szybciej zabijał ptaki.

– Właśnie. Jad jest naprawdę wyjątkowy, to istny róg obfitości trucizn. Nie tylko rozpuszcza tkanki, ale również powoduje niewydolność nerek, zatrzymanie akcji serca, wylew krwi do mózgu i krwotok jelitowy. Zawarte w nim hemotoksyny wyglądają wysoce obiecująco jako punkt wyjścia do opracowania nowych leków na choroby serca.

– I dlatego tu jesteśmy – wtrącił Oscar. – W nadziei na wynalezienie następnego kaptoprylu.

Ken się uśmiechnął.

– Przynajmniej na to liczą ci zacni ludzie w Tanaka Pharmaceuticals.

I nie było to z ich strony strzelanie w ciemno. Kaptopryl – najlepiej sprzedający się lek na nadciśnienie firmy Bristol-Myers Squibb – został wyizolowany z jadu żararaki zwyczajnej, bliskiej kuzynki żararaki wyspowej.

– I kto wie, co jeszcze można odkryć w całej tej znajdującej się tu truciźnie? – podjął Ken. – Koncern Elan Pharmaceuticals niedawno wypuścił na rynek prialt, silny lek przeciwbólowy. Otrzymano go z toksyny znalezionej w ślimakach morskich, stożkach jadowitych. W jadzie helodermys arizońskiej odkryto białko, które jest badane jako cudowny lek na alzheimera. Koncerny na całym świecie dużo inwestują w programy odkrywania leków opartych na jady.

– Wygląda na to, że toksykolog specjalizujący się w jadowitych zwierzętach może mieć swoje pięć minut. – Oscar wyszczerzył zęby. – Może sami powinniśmy wejść w ten biznes. „Jady to my”.

Ken żartobliwie trącił doktoranta hakiem na węże.

– Skup się na złapaniu swojego pierwszego okazu, później pogadamy o spółce.

Wciąż uśmiechnięty, Oscar podszedł do następnego kolczastego krzaka. Pochylił się i podniósł dolne gałęzie. Coś śmignęło przed nim i prześliznęło się po skałach. Wrzasnął i odskoczył, zderzając się przy tym z Aną Luiz. Oboje upadli na ziemię.

Długi na ponad pół metra wąż zmierzał prosto ku ich ciepłym ciałom.

Ken wysunął hak i złapał gada w połowie długości. Podniósł go wysoko, uważając, żeby nie zrobić tego gwałtownie i nie wyrzucić go w powietrze. Ciało węża natychmiast zwiotczało, mała głowa kołysała się, język śmigał.

Oscar próbował odczołgać się dalej.

– Nie ma obawy – uspokoił go Ken. – To tylko kolejny z mieszkańców Queimada Grande. *Dipsas indica*, znany również jako pożeracz węży. – Położył gada na ziemi. – Zupełnie nieszkodliwy.

– Myślałem... myślałem, że chce mnie zaatakować – wyjąkał Oscar, czerwony z zakłopotania.

– Zwykle te małe pożeracze węży są płochliwe. To dziwne, że cię ścigał, muszę przyznać. – Ken spojrzał wzdłuż trasy obranej przez węża. – Chyba że tylko próbował dostać się na plażę.

Jak kłusownik...

Zmarszczył czoło, nagle zaniepokojony. Spojrzał w przeciwnym

kierunku na skały i rosnący za nimi las. Położył węża na ziemi i pozwolił mu uciec w stronę plaży.

– Idziemy – ponaglił i wspiął się na zbocze.

Za skalistym garbem znajdowała się zasłana piaskiem niecka. Stanął na krawędzi, szokowany nieprawdopodobnym widokiem.

Skały i piasek zaścilała płatanina złoto-brązowych ciał. Były ich setki. Królowe Queimada Grande, żaraki wyspowe.

– A niech mnie... – szepnął Oscar, drżąc od stóp do głów.

Ana Luiz przeżegnała się, a Dias uniósł karabin i wycelował w piaszczyste zagłębienie.

Był to zbędny środek ostrożności.

– Wygląda na to, że wszystkie nie żyją – powiedział Ken.

Ale co je zabiło?

Żaden z długich na metr złotych węży się nie poruszał. I były tam nie tylko węże. Na dnie leżało kolejne ludzkie ciało, nieruchome, twarzą w dół.

Dias powiedział coś po portugalsku do Any Luiz, a ta pokiwała głową. Ken trochę znał język Brazylii i zrozumiał, że ten człowiek z pewnością był współnikiem leżącego na plaży kłusownika. W każdym razie byli podobnie ubrani.

Mimo braku bezpośredniego zagrożenia wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię, sparaliżowani przez makabryczny widok.

Oscar pierwszy odzyskał mowę.

– Ten facet jeszcze oddycha?

Ken zmrużył oczy. Na pewno nie. Ale jego doktorant miał lepszy wzrok niż pozostali. Klatka piersiowa mężczyzny wznosiła się i opadała, jakkolwiek płytko, nierówno.

Ana Luiz zaklęła pod nosem i ruszyła ku niecce, już zdejmując torbę medyczną z ramienia.

– Zaczekaj – rzucił Ken. – Pójdę pierwszy. Może niektóre z nich jeszcze żyją. A poza tym nawet martwy wąż może ukąsić.

Spojrzała na niego, z niedowierzaniem marszcząc czoło.

– Są niezliczone historie o ludziach, którzy odcięli głowę grzechotnikowi czy kobra, a potem zostali ukąszeni, gdy ją podnieśli.

Nawet kilka godzin później. Wiele zwierząt zmiennocieplnych ma taki pośmiertny odruch.

Ruszył przed lekarką, podnosząc hakiem i odsuwając z drogi kolejne węże. Powoli szedł w dół zbocza. Wszystkie żaraki wyglądały na martwe, żaden nie zareagował na jego obecność, co było znaczące, biorąc pod uwagę agresywny charakter gatunku.

Schodząc, czuł coraz bardziej intensywny dziwny zapach. Spodziewał się smrodu padliny długo leżącej w słońcu, ale pod nim wykrył mdlącą słodycz, jakby kwiat zakwitł w zgniliźnie. Z jakiegoś powodu odór przyprawił go o szybsze bicie serca, jakby budził w nim wrodzony zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

Mając wyostrzone zmysły, w końcu Ken zauważył, że w pobliskim lesie panuje niepokojąca cisza. Ani śpiewu ptaków, ani brzęczenia owadów, tylko szelest liści. Zatrzymał się i uniósł rękę.

– O co chodzi? – zapytała Ana Luiz.

– Wracaj.

– Ale...

Cofnął się o krok, potem drugi, zmuszając ją to zrobienia tego samego. Skupił wzrok na mężczyźnie leżącym na ziemi. Teraz dobrze widział jego twarz. Oczy zniknęły. Czarna krew zaschła na nosie, skrzepła w nozdrzach.

To był trup.

A jednak pierś się poruszała, chociaż na pewno nie wydymana przez ostatnie tchnienie.

Coś w nim jest, coś żywego.

Przyśpieszył, chociaż bał się oderwać wzrok od ciała. Słyszał, że Ana Luiz już dotarła do innych. Z lasu dobiegł nowy hałas. Niosący się z cieni niski pomruk postawił mu włosy na głowie. Hałasowi towarzyszyło dziwne głucho stukanie. Chciał przypisać je zderzającym się gałęziom, ale przecież nie było wiatru.

Wyobraził sobie grzechoczące kości.

Odwrócił się i biegiem pokonał ostatnie kilka metrów w górę zbocza.

– Musimy się zmywać z tej wy... – wysapał na szczycie, zmęczony.

Przerwała mu eksplozja. Po jego prawej stronie, z zatoczki, gdzie zostawili ponton, wzniosła się w niebo kula ognia. Mały czarny helikopter przebił się przez słup dymu. Karabiny zagrzechotały pod kadłubem. Pociski krzeszały iskry na skałach, wzbijały gejzery piasku.

Oscar upadł pierwszy, z rozoraną szyją.

Dias próbował odpowiedzieć ogniem, ale nagle poleciał do tyłu.

Ana Luiz odwróciła się do ucieczki i dostała w plecy.

Ken rzucił się z powrotem do niecki. Spóźnił się o ułamek sekundy. Ogień wybuchł w jego ramieniu. Siła uderzenia poderwała Kena w powietrze. Upadł i zaczął się staczać między zimne ciała martwych gadów.

Gdy się zatrzymał, znieruchomiał, na wpół pogrzebany w węzłach. Słyszał, jak śmigłowiec przemyka nad nim, a potem wraca, zakreślając niskie półkole.

Wstrzymał oddech.

W końcu maszyna odleciała nad plażę, prawdopodobnie żeby sprawdzić, czy ponton na pewno został zniszczony. Ken słuchał cichącego dudnienia wirników.

Odlatuje?

Bał się ruszyć, mimo że z lasu dobiegał niepokojący pomruk, teraz głośniejszy. Lekko przekręcił głowę, żeby widzieć skraj lasu. Mgła – ciemniejsza niż cienie – sączyła się między gałęziami drzew, wznosiła nad korony. Dziwne klekotanie brzmiało coraz donośniej, wścieklej.

Coś nadchodzi...

Nagle świat stanął w ogniu.

W lesie zabrzmiały potężne wybuchy i nad drzewami wzbily się spirale ognia. Kanonada kolejnych eksplozji ogarniała porośnięte lasem wyżyny. Wokół Kena spadały płonące kawałki strzaskanych pni i gałęzi. Czarny dym, duszący i gryzący, toczył się nad skałami, pochłaniając pozostałą część wyspy.

Ken laził na czworakach, krztusząc się i kaszląc.

Na języku czuł gorzki chemiczny smak.

Napalm... a może jakiś zapalający defoliant.

Z płonącymi płucami wygramolił się z niecki i potoczył ku plaży. Zmierzał ku wodzie, do małej łodzi zakamuflowanej wśród skał przez kłusowników. Modlił się, żeby dym skrył jego ucieczkę. Na wpół ślepy, rękami wymacał chłodną wodę. Wśliznął się do niej i przesuwiał ku samotnej łódce.

Za nim ogień rozprzestrzeniał się i pochłaniał wyspę, powoli wypalając ją do gołej skały.

Ken dotarł do łódki, wgramolił się przez burtę i padł na plecy. Chciał czekać do zachodu słońca, zanim zaryzykuje wypłynięcie na otwartą wodę. Całun dymu i ciemność powinny osłonić go przed oczami patrzącymi z nieba.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Tymczasem wykorzystywał ból w ramieniu, żeby zostać skupionym i podsycać pragnienie, które płonęło w nim z takim żarem jak pożoga szalejąca na wyspie.

Przytulał do piersi torbę.

Zawierała martwego węża żararakę, którego zabrał przed ucieczką.

Będę wiedział, co się tu stało.